

Grzegorz Gortat

Mur

(fragment powieści)

Przyznawał rację tym, którzy utrzymują, że czerwony jest kolorem wyjątkowym. Od siebie dodawał, że do pewnego stopnia uprzywilejowanym. Z czerwienią mundurów pięknie się komponowała biała flaga Republiki. A na tle czerwonych tulipanów, zwłaszcza u schyłku dnia, marmurowe posągi w alei Męczenników Siódmego Września patrzącym z daleka wydawały się mitycznymi olbrzymami, które na ich oczach budzą się do życia. Podejrzewał, że to połączony efekt kontrastowych barw i oddziaływania promieni słonecznych. Widok szczególnie wrażenie wywierał na przybyłych z prowincji.

Kolor czerwony miał również znaczący wymiar praktyczny. Na czerwonym nie widać krwi.

Wzniesione specjalnie na ten jeden dzień trybuny na placu Zwycięstwa Republiki tworzyły wielki czworobok. Pośrodku służby porządkowe ułożyły czerwony dywan. Trzy pierwsze rzędy zarezerwowano dla gości honorowych i przedstawicieli władz, w pozostałych zasiedli szczęśliwcy wybrani w drodze losowania, którzy następnie przeszli z powodzeniem skrupulatną kontrolę. Ci ostatni, w odświętnych białych strojach, siedzieli jak na szpilkach, świadomi obecności kamer bezpieczeństwa i agentów prezydenckiej ochrony, wpatrzeni w pusty jeszcze czerwony kwadrat, od czasu do czasu przenosząc wzrok na jeden z czterech ogromnych ekranów, na których do czasu rozpoczęcia transmisji wyświetlano najnowszą kronikę z życia Republiki.

Kiedy na ekranach pokazał się minister Grossman, widownia powitała go oklaskami.

Patrzył na Grossmana i też klaskał. Kamera pokazywała Grossmana od pasa w górę. Przemawiał na spotkaniu z weteranami Rewolucji w pierwszej rocznicę rozwiązania parlamentu i powołania Ministerstwa Postępu, które zastąpiło wszystkie dotychczasowe ministerstwa. Jeden prezydent, jeden naród, mówił Grossman. I jedno ministerstwo stojące na straży

dobrobytu obywateli. Kto sprzeciwia się postępowi, jest wrogiem narodu, podkreślił, zaraz potem dodając, że wszystko, co nie działa na rzecz postępu, dla dobra narodu zostanie wyplenione.

Słuchał Grossmana i zastanawiał się, w którym dokładnie momencie sprawy potoczyły się w niewłaściwym kierunku. I czy ktoś lub coś może puszczoną w ruch maszynę jeszcze zatrzymać.

Egzekucja przebiegła szybko. Zaplanowano transmisję na żywo, a z długimi przekazami na żywo wiąże się to niebezpieczeństwo, że sytuacja czasami wymyka się spod kontroli. Pojawił się Grossman. Specjalnie na tę okazję rzadkie włosy ufarbował na czarno. Założył czarny garnitur i z wysokości udekorowanej czerwienią mównicy wydawał się szczuplejszy i wyższy.

Otworzyły się zamaskowane drzwi u podstawy centralnej trybuny i oddział Czerwonych Kurtek wyprowadził Rakoczego. Był nagi.

Patrzył na pergaminową skórę opinającą sterczące kości skazańca, na płataninę żył w chudym, pomarszczonym ciele, którymi wciąż płynęła krew. Nie było widać śladów tortur. Ale raptem Rakoczy wysforował się do przodu i wydał z siebie zwierzęcy jęk i rozwarł gębę jak potrafił najszerzej i siedzący najbliżej zobaczyli ohydną jamę ust i trzepoczący się jak ryba przebita ościeniem kikut języka.

Grossman przystąpił do odczytywania wyroku, jego słowa jednak puszczano mimo uszu, bo najdrobniejsze szczegóły wszyscy znali z gazet i przy ogromie zbrodni, jakich Rakoczy się dopuścił, doprawdy przestało być ważne, czy ma na sumieniu dziewiętnaście czy sto dziewiętnaście ofiar. Wszystkim za to pilno było zobaczyć, w jaki sposób Republika odbierze życie nie przelewając kropli krwi.

Obserwował Grossmana. Karzeł najwidoczniej wyczuł rosnącą niecierpliwość tłumu i świadomy tego, że dzisiaj nie on jest najważniejszy, szybko przeszedł do katalogu przewinień skazańca. Spisek. Zdrada. Zamach stanu. Próba odwrócenia historii. Dzieciobójstwo. Zbrodnia odebrania życia.

Słuchał belkotu Grossmana i myślał, że prawdziwą zbrodnią Rakoczego było wylamanie się z szeregu. Jeden maruder może opóźnić marsz milionów. W tym widział podobieństwo Rakoczego do La Malle'a.

Biskup Julian La Malle był jedynym wysokiej rangi klechą, który z majowych czystek przed dwoma laty uszedł z życiem. Ostatecznie zmądrzał i dla ratowania własnej skóry zrezygnował z biskupiej godności. Zaszły się

na głębokiej prowincji, ale sutanny nie zrzucił, w złudnym przeświadczeniu, że chudej myszy łatwiej się prześlizgnąć przez grube oczka sieci Rewolucji. Nie zarzucił praktyk religijnych. Potajemnie dalej odprawiał msze, dawał śluby, chrzcil, grzebał w poświęconej ziemi i stosował cały pozostały arsenał kuglarskich sztuczek, z których od wieków jest znana chrześcijańska sekta. Wpadł we własne sidła, gdy odmówił udzielenia ślubu dwóm mieszkańcom pobliskiego miasteczka, od niedawna pełnoprawnym członkom zgromadzenia, w rzeczywistości podoficerom z lokalnego garnizonu Czerwonych Kurtek. Proces odbył się w stolicy. Od początku było wiadomo, że La Malle zapłaci najwyższą cenę. Nie dość że oddawał się zakazanemu bałwochwalstwu, to jeszcze złamał zasadę równości obywateli. W procesie powoływał się na przepisy religijne, wedle których małżeństwo mężczyzny z mężczyzną jest sprzeczne z prawami boskimi. Grzech sodomii i takie tam klesze banialuki. Powieszono go na więziennym dziedzińcu. Bez rozgłosu, bo, o dziwo, w wielu częściach kraju, stolicy nie wyłączając, aresztowaniu i procesowi towarzyszyły gwałtowne protesty. Kiedy żona Rakoczego podpisywała petycję w obronie klechy, La Malle był już trupem. Pociągnął za sobą do grobu innych, bo nie dla wszystkich popleczników biskupa Republika okazała się równie pobłażliwa co dla Elly Rakoczy.

Bóg. Grzech. Wina. Obciążony takim balastem świat La Malle'ów i Rakoczych należał do przeszłości. Razem z nim powinni odejść i nikt nie będzie po nich płakał. Na pewno nie on. Rzecz w tym, że nowy świat, do którego powstania przyłożył rękę, zmierzał w złym kierunku. Był podobny do pociągu, który niezauważenie wjechał na niewłaściwe tory i z każdym kilometrem nabiera prędkości. Prędzej czy później się wykołei albo zderzy z przeszkodą. Chyba że ktoś w porę zatrzyma rozpedzony skład. Nie wymyślił jeszcze, jak tego dokonać, wiedział za to, że polegać może tylko na samym sobie. Bo jedyny spisek, któremu nie zagraża zdrada z zewnątrz, to ten przygotowany i przeprowadzony od początku do końca przez samotnego spiskowca.

Grossman przystąpił wreszcie do wygłaszania poprzedzającej egzekucję zwyczajowej formułki. Mówił tonem nawiedzonego klechy i kiedy go słuchał, wciąż rozpamiętując szaleństwo i śmierć Juliana La Malle'a, o mało się w głos nie roześmiał. Kochamy cię, Janie Rakoczy, smęcił Grossman uroczyście. Wystąpiłeś przeciwko nam, ale skruszony powracasz, podobnie jak syn marnotrawny wrócił do domu ojca, Samuela Millsa, a my za przy-

kładem Samuela i jego pozostałych jedenastu synów z serca ci wybaczymy. Nie przelejemy twojej krwi. Ble, ble, ble.

Znal prawdziwą historię Millsa. Sam był wtedy dzieckiem i pamiętał, jaką grozą napelniała go myśl, że i on mógłby się znaleźć na miejscu synów Samuela. Samuel Mills naprawdę nazywał się Aram Michta i miał czterech synów. Byli dziećmi, kiedy ojciec sprzedał ich zagranicznym handlarzom żywym towarem. Trzech zmarło w młodym wieku, czwarty wpadł w oko perskiemu książętku, w krótkim czasie dorobił się fortuny i pod zmienionym nazwiskiem powrócił, by ojca zabić. Złapano go niemal na gorącym uczynku, ale dzięki pieniądзом uniknął oskarżenia i kary. W matactwach śledczych posunięto się tak daleko, że z czasem przeinaczona doszczętnie historia stała się jednym z mitów założycielskich Republiki, fundamentem, na którym wzorem dawnych religijnych fantasmagorii wznoszono kolejne pietra politycznej uludy. Wypleniwszy jedną religię – komentował w myślach, niezbyt pilnie słuchając Grossmana, śledząc za to zachowanie skazańca – świat z biegu przystępuje do stwarzania nowej, bo nic tak nie służy postępowi jak poruszanie się po utartych koleinach.

Ledwo Grossman skończył, Rakoczy wyrzucił w górę zaciśnięte pięści, jakby groził całemu światu. Sześciu rosłych drabów ze stołecznego garnizonu Czerwonych Kurtek otoczyło go ciasnym pierścieniem. Z rękami założonymi w tyle za pas, w milczeniu, rytmicznie posapując, zaczęli na niego napierać niczym drwale próbujący przewrócić nadpilowane drzewo. Rakoczy zniknął za żywym murem z napiętych karków i naprężonych ud. Po chwili słychać już było tylko terkot wentylatorów pod sufitem, rytmiczne sapanie żołnierzy, skrzypienie ich skórzanych butów o wysokich cholewach i trzask pękających żeber. Żołnierze oddychali coraz głośniej i chrapliwiej, ale utrzymywali szyk. Wreszcie na komendę się rozstąpili.

Rakoczy leżał zwinięty w kłębek i przypominał ostrzygę wysaną z muszli. Jeśli polala się krew, to czerwony dywan ją wchłonał.

Siedział i wraz z innymi patrzył na trupa, choć powinien był wstać i odejść, by niczym się nie zdradzić. Przymknął oczy – i zobaczył więcej. W jednym rzędzie z Rakoczym leżały dwa inne trupy. W jednym rozpoznał biskupa La Malle'a, w pocerowanej sutannie, wciąż z pętlą na szyi. Tuż obok przegalopował wystraszony koń bez jeźdźca. Biegł na oślep, prosto w ścianę ognia. Widząc to ojciec powiedział: Przyjdzie dzień gorący jak piec i spali winowajców. Przystroga z księgi, jak ją ojciec zapamiętał; księgi, która przechowała słowa Dawida, Koheleta, Aarona, Izajasza i Ezawa

i istniała na długo przed pojawieniem się fałszywych proroctw z księgi Samuela Millsa.

Trzeci trup miał znajomą twarz. Widywał ją, ilekroć stawał przed lustrem.

Nie powinieneś był tego zobaczyć, powiedział ojciec z miejsca, gdzie teraz przebywał.

Grzegorz Gortat

Zrealizowano w ramach
stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

